

Olga Szomańska: Moja prawdziwa twarz coraz bardziej brzmi znajomo

Rozmowa. Znana i lubiana polska wokalistka i aktorka opowiada nam o wcielaniu się w mężczyzn, o śpiewaniu u Piotra Rubika, o wzruszającym występie podczas Światowych Dni Młodzieży i pracy w krakowskim Teatrze Variété. Zagra w nim dziś i jutro.

– Olga Szomańska to już ktoś, kogo twarz brzmi znajomo?

– Coraz bardziej tak. Ciekawe jest to, że duże rzesze publiczności pamiętały mnie z oratoriów Piotra Rubika, a nie łączyły z serialem, w którym gram od ponad dwóch lat – „M jak miłość”. I dopiero dzięki programowi „Twoja twarz brzmi znajomo” ludzie zaczęli kojarzyć, że ta, co w piosence „Niech mówią, że to nie jest miłość” klasowała u Rubika, wcieliła się w tym serialu w Marzenkę Laskowską.

– W telewizyjnym show „Twoja twarz brzmi znajomo” zaśpiewała Pani brawurowo przebój Tiny Turner „GoldenEye”, dostając pierwszą nagrodę. Lubi Pani takie wchodzenie w cudzą skórę?

– Jestem aktorką, zatem na scenie nie wychodzi Olga Szomańska, ale fryzjerka z „Legalnej blondynki” w Teatrze Variété, Deloris van Cartier w musicalu „Zakonnica w przebraniu” w Teatrze Muzycznym w Poznaniu czy Danusia w rock-operze „Krzyżacy”.

– Ale to są role, którym przydaje Pani cech swoich, jako Tina Turner musi Pani być kopia, odwzorować maksymalnie wiernie oryginał.

– I dlatego na początku miałam duże obawy; wręcz – mimo iż nie tylko gram, ale i dubbinguję filmy, mam zatem łatwość zmieniania głosu – bałam się, że sobie nie poradzę. Ale już ten pierwszy sukces sprawił, że z każdym odcinkiem czułam się coraz lepiej i weszłam w tę zabawę tak bardzo, iż przyglądając się sobie, już ucharakteryzowanej, w lustrze, nie widzę siebie. Gdy wjeżdżam windą do studia już jestem postacią, którą mam pokazać. To całkiem fajne uczucie; na co dzień nie mam okazji być mężczyzną – czy to Bryanem Adamsem czy Bruno Marssem. Ciekawe doświadczenie. Nagle wychodzą ze mnie cechy, o które bym się nie podejrzewała. Chociaż na co dzień wolę być kobietą.

– „Tu es Petrus”, oratorium Piotra Rubika i Zbigniewa Książka, to był pomost, który dał Pani mocne odbicie do dalszej kariery?

– Absolutnie tak, a w ogóle się tego nie spodziewałam. Dopie-

ro, gdy po premierowym koncercie staliśmy na scenie w kieleckiej Kadzielni, a było to krótko po śmierci Jana Pawła II, przeżyłam coś niesamowitego. Byłam młodą dziewczyną, w spódnicy, uszytej przez mamę, a przede mną niemal 10 tysięcy zachwyconych ludzi. A był to dopiero początek – jeździły za nami po Polsce rzesze fanów, płyta się sprzedawała w wyjątkowych ilościach. Później dostaliśmy z Przemkiem Brannym nagrody na festiwalach w Opolu i Sopocie. Wspaniały czas. Zarazem jednak sukces oratoriów Piotra Rubika zaszufładkował mnie, a przecież już miałam za sobą występy w teatrach muzycznych, w tym w Romie. Dopiero moja płyta „Nówka” przypomniała, że nie tylko śpiewam w oratoriach.

– Bo to jednak teatr, a zwłaszcza musical są Pani najbliższe.

Podczas przygotowań do „Rewii variete” udowodniłam sobie, że, jeśli ktoś ustawi mi wysoko poprzeczkę, będę ją pokonywała tak długo, aż przeskoczę
Olga Szomańska

– Zdecydowanie. Już jako czterolatka sadzałam wszystkich na fotelach w domu i grałam spektakl; puszczałam płyty Rosiewicza czy Rodowicza, do których tańczyłam oraz śpiewałam.

– Koncerty z oratoriami oklaskiwany przez wielosięczną publiczność, każą mi zapytać o Pani niedawne doświadczenie podczas Światowych Dni Młodzieży, kiedy to na Błoniach śpiewała Pani dla dwóch milionów słuchaczy!

– Zdecydowałam się na ten koncert mimo obaw i sugestii najbliższych, że może być zamach terrorystyczny, a ja jestem młodą mamą. Czułam jednak, że nie może mnie tam nie być. I to był jeden z najważniejszych koncertów w moim życiu. Z jednej strony praca z Adamem Sztabą, z drugiej – czuwanie



Olga Szomańska: W Teatrze Variété czują się jak w rodzinie, jak w domu



Olga Szomańska jako Tina Turner...



... i w serialu „M jak miłość”

dla papieża Franciszka. I ten tłum przed nami. Czułam się taka maleńka. Niewyobrażalne doświadczenie, o którym długo nie mogłam zapomnieć. Jak my wszyscy. I Mietek Szcześniak, i Andrzej Lampert, i Krzysztof Antkowiak, i Beata Bednarz czy Kuba Badach bardzo długo rozpamiętywaliśmy to niezwykle przeżycie.

– Janusz Sztydlowski, dyrektor wspomnianego już Teatru Variété, z którym współpracu-

je Pani od początku, mówi o Pani „moja gwiazda”. Czuje się Pani gwiazdą tego krakowskiego teatru?

– Nie, natomiast od pierwszych chwil czuję się w tym teatrze świetnie – jak w rodzinie, w domu. To miejsce niezwykle dla mnie ważne. A dyrektor Sztydlowski jest jedną z nielicznych osób w moim życiu, które postawiły na mnie i mocno we mnie wierzą. I jesteśmy sobie wierni.

– Po musicalu „Legalna blondynka” dostała Pani rolę w „Variete film show” i w „Rewii variete”. A trafiła tu Pani...

– ...zgłosiwszy się na casting. W moim zawodzie nieustannie szuka się okazji do grania. I cały czas jest się egzaminowanym, wychodząc z kolejnym numerkiem na piersi, by walczyć o rolę. W Krakowie castingi już trwały, gdy zostałam zaproszona. Spotkałam się wtedy pierwszy raz twarzą

w twarz z Januszem Józefowiczem, który spojrzał na mnie i powiedział: „Jesteś fryzjerką”. To było wspaniałe.

– I jak się pracowało z reżyserem, który ma opinię, iż w pracy łatwy nie jest?

– Mnie fantastycznie. Szanowaliśmy się nawzajem. On pewnie wiedział, że już mam doświadczenia sceniczne, a ja spokojnie odbierałam jego krzyki, wiedząc, że są one trochę z przymrużeniem oka, tak dla podtrzymania panującej o nim opinii.

– W „Rewii variete” jest już Pani diwą wieczoru – w przepięknych strojach, z masą wspaniałych piór, z kamieniami Swarovskiego – do tego schody.

– W kostiumach, które są tak niewyobrażalnie piękne, każda kobieta czuje się fantastycznie. I ten wspaniały repertuar – przeboje Christiny Aguilery, Madonny, Jennifer Hudson, Cher, Beyoncé, Britney Spears. To ikony wokalistyki, łączące śpiew i taniec. I do takiego zawodowego tańca tygodniami przygotowywałam Krzysztof Tyszkę, bym mogła się znaleźć wśród zawodowych tancererek rewiowych. To była ciężka praca, wręcz harówka. Aż – może to nie zabrzmiało głupio – sama sobie zaimponowałam, że oto osiągnęłam kolejny etap, że się udało. Udowodniłam sobie, że, gdy ktoś postawi mi wysoko poprzeczkę, będę ją pokonywała tak długo, aż przeskoczę. I to na tyle swobodnie, by widzieli, ile mnie to kosztowało potu, łez i zmęczenia. Cała ta rewia jest tak przygotowana – wykonawcy, oprawa choreograficzna, muzyczna, pióra, kostiumy, światła... Wszystko po to, by widzieli, poczuł się choć troszkę jak w Moulin Rouge. By zabawił się i odpoczął.

– I to już są Pani interpretacje tych przebojów, nie imitacje tychże wokalistek.

– Śpiewając covery, choćby nagrane na płytę piosenki Anny German, nigdy nie naśladuję oryginału, a staram się, by to były moje interpretacje. No chyba że to jest program „Twoja twarz brzmi znajomo”. Tam musi być jeden do jednego, zatem trzeba swoje konie poskromić.

Rozmawiał: Wacław Krupiński